

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/kresy/66159,Kazali-sie-szybko-pakowac-Wojenne-losy-Bogumila-Halacinskiego.html>



Bogumił z ojcem, Łuck, nad rzeką Styr, 1938 r. Fot. ze zbiorów rodzinnych

ARTYKUŁ

Kazali się szybko pakować. Wojenne losy Bogumiła Hałacińskiego

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: KINGA HAŁACIŃSKA 24.04.2020

Pytany o dzieciństwo, zawsze wspominał bułkę. Gdy wchodzili z matką do kamienicy przy ul. Gołuchowskiego w Stanisławowie, gdzie wówczas mieszkali, już w sieni poczuł zapach świeżego pieczywa, masła i szynki. Pod ich drzwiami

leżała bułka owinięta w pergamin.

„Żebrak prosił o pieniądze – wyjaśniła im potem gosposia – Dałam mu ją, ale chyba nie był głodny”.

Zapach tamtej bułki miał prześladować Bogusia Hałacińskiego przez kolejne lata jego życia.

Urodził się w Łucku... Na Wołyniu...

Urodził się w kwietniu 1934 r. w Łucku na Wołyniu, jako drugi syn Zofii i Andrzeja Hałacińskich. Ojciec był notariuszem, oficerem rezerwy, oddelegowanym przez rząd na Kresy. Trafili do Stanisławowa, gdy starszy dwanaście lat brat Przemysław ukończył łuckie szkoły. Ojciec otrzymał w okolicy działkę osadniczą, zamierzał się budować. Jednak przyszedł sierpień 1939 r., dostał rozkaz, by bronił Kowla.

- Pamiętam, jak przypinał do boku szablę. W domu jest młodzież licealna, koledzy Przemka. Są poruszeni, mówią o wojnie. Stają szpalerem, żegnając mojego ojca, a matka ma łzy w oczach – opowiada Bogumił.



Andrzej i Zofia Hałacińscy.
Warszawa 1919 r. Fot. ze zbiorów
rodziny



**Bogumił z ojcem, Łuck, nad rzeką
Styr, 1938 r. Fot. ze zbiorów
rodziny**

Kolejne wspomnienie wiąże się z 17 września 1939 r. Stali na balkonie, ulicą maszerowała armia sowiecka w morzu czerwonych flag. Ukraińcy i Żydzi wiwatowali. Fruwały podzucane do góry czapki, słyhać było krzyki: *Haj żywe! Haj żywe Radiańska Armija!* Matka była przerażona, płakała.

„Czy będzie jeszcze Polska? Czy ją wskresicie, jak wasz ojciec?” – pytała synów.

Od tej chwili Bogumił miał zakaz bawienia się na podwórku. Zabroniono mu też mówienia na ulicy po polsku. „Zabiją nas” – przestrzegali matka z nianią.

Stali na balkonie, ulicą maszerowała armia sowiecka w morzu czerwonych flag. Ukraińcy i Żydzi wiwatowali. Fruwały podzucane do góry czapki, słyhać było krzyki: *Haj żywe! Haj żywe Radiańska Armija!* Matka była przerażona, płakała. „Czy będzie jeszcze Polska? Czy ją wskresicie, jak wasz ojciec?”

Z trudem przeżyli srogą zimę 1939/1940. Przed świętami Bożego Narodzenia przyszła kartka od ojca. Był w sowieckiej niewoli. Matka w napięciu przeglądała dokumenty, zdjęcia męża. Niektóre niszczyła. Starła się, by na jego portretach nie było widać krzyża Virtuti Militari, który dostał za walkę z Rosjanami pod Kostiuchnowką 4-6 lipca 1916 r. Żyła w panice, od lat cierpiała na depresję.

Przyszli w nocy

Przyszli po nich 14 kwietnia 1940 r. w nocy, w szóste urodziny Bogumiła. Kazali się szybko pakować.

Dieportacja w Sibir – powiedział od progu enkawudzista.

Przemysław postawił brata na krzeselku, kazał mu powtórzyć i zapamiętać imię, nazwisko, datę urodzenia. Potem naprędce pakował rzeczy i nosił je do gazika, który stał pod kamienicą. Krasnoarmiejec chodził za nim krok w krok. Po chwili rozległy się strzały.

- Nie wiedziałem, co się stało. Dopadłem kolan płaczącej matki. Postawiono ją pod ścianą z rękami do góry. *Skażi gdzie syn. Jesli nie skażesz, ubijom i jowo, i tiebia* – groził nam enkawudzista z odbezpieczoną bronią – wspomina.

Wtedy niania chwyciła Bogusia i wyprowadziła do drugiego pokoju. „Przemek uciekł” – wyszeptała.



**Bogumił z matką i bratem
Przemysławem. Fot. ze zbiorów
rodziny**

By złapać uciekiniera, Rosjanie wozili Zofię Hałacińską po wszystkich znanych jej adresach w Stanisławowie. Ostatecznie została z synem odstawiona na dworzec. Czekwały tam towarowe wagony, ale pociąg nie ruszył jeszcze przez dwa, trzy dni. Doładowywano stale nowych ludzi, aż zrobiło się ciasno od kobiet i dzieci. W końcu pojechali. Bogusiowi pozwalano czasem wdrapywać się na stertę tobołków. Patrzył wtedy przez zakratowane okienko na zmieniający się krajobraz. Gdy pociąg wjechał na tereny rosyjskie, Zofia uświadomiła sobie, że syn jest nieochrzczony. Pasażerowie zrobili mu chrzest „z wody”, dali mu do ręki zapaloną świeczkę. Ojcem chrzestnym został najstarszy chłopiec w transporcie, 12-letni Jurek Tomaszek, sąsiad z kamienicy w Stanisławowie.

Kazali się szybko pakować. *Dieportacja w Sibir*
- powiedział od progu enkawudzista.
Przemysław postawił brata na krzeselku, kazał
mu powtórzyć i zapamiętać imię, nazwisko,
datę urodzenia.

Gdy dojechali na miejsce, było już ciepło. *Gruzowik* (ciężarówka) dowiózł Polaków do wsi, a na spotkanie wybiegła dzieciarnia, wygrażając pięściami i wyśpiewując pogardliwe piosenki. Miejscowość nazywała się Pieszczanka, *kustanajska obłast*. Zofię z synem skierowali do wnuczki powstańca z 1863 r. - *Primi swoich* - usłyszała, choć nie umiała jednego słowa po polsku. W zamian za jedzenie chciała przywiezione przez Zofię rzeczy.

Ale i tak wszyscy tutaj głodowali. Polacy dostali nakaz pracy w kołchozie. Tam często wołano Zofię do tłumaczeń. Rosyjski znała perfekcyjnie. Ukończyła z nagrodą carskie gimnazjum w Pułtusku. Ale praca w polu była ponad jej siły. Wkrótce nadeszła jesień, a wraz z nią nasilenie choroby. Rzeczy, które mogła wymienić na mleko dla dziecka, topniały w szybkim tempie. Przestała więc jeść.

- Pewnego dnia po powrocie z pracy pożegnała się ze mną i wyszła. Pobiegłem po pomoc - wspomina Bogumił.

Przyprowadzono ją po chwili, mówiąc, że próbowała się powiesić. Nazajutrz zabrano ją do szpitala w Kustanaju.

Śniła mu się bułka

Początkowo przerculano chłopca od rodziny do rodziny. Głód był powszechny. Nocami śniła mu się bułka spod drzwi w Stanisławowie. Widział ją i nie mógł sięgnąć. Zimą spędził u nauczycielki Klimy Bitońskiej. Wywieziono ją wraz siostrą i jej synami, swoich dzieci nie miała. Próbowała nauczyć go czytać po polsku na jedynym egzemplarzu „Płomyczka”, który ktoś wziął ze sobą. Gdy do wsi przyjechał fotograf, opłaciła wykonanie zdjęcia - miała nadzieję, że ktoś będzie chłopca szukał.



Łuck. Bogumił z ojcem i nianią.

Fot. ze zbiorów rodzinnych



**Zofia z Bogumiłem w Łucku. Fot.
ze zbiorów rodzinnych**

Wiosną Polacy z Pieszczanki wymusili wzięcie Bogusia na pani Tomaszek. Nie była szczęśliwa z dodatkowego kłopotu i dawała mu to odczuć. Miała pod opieką schorowaną matkę i dwoje starszych od niego dzieci. Latem 1942 r. wyruszyła do Armii Andersa i wtedy Bogusia wraz z innymi sierotami wsadzono na ciężarówkę i odesłano do polskiego domu dziecka w Kustanaju.

- Było mi tam dobrze. Doszło do tego, że nie chciałem jeść suchego chleba, a i ubranko się dla mnie znalazło - wspomina.

Tam po raz pierwszy zobaczył Msze św. odprawiane w baraku. Nie uczestniczył w nich. Tylko obserwował, co robią dorośli.

- Najbardziej zdumiewało mnie to, że ludzie stoją w długiej kolejce, potem klękają, by dostać malutki kawałek chleba. Nie rozumiałem po co. Wiedziałem, że nie są bardzo głodni. Spytałem o to kolegów i powiedzieli mi, że „Jezus sprzyja Polakom i jest silniejszy od Stalina i Hitlera”. Pomyślałem wtedy, że to polski spisek i byłem bardzo ciekawy, jak ta odrobina chleba smakuje - opowiada.

Wkrótce dowiedział się, że polska placówka będzie zlikwidowana, a oni trafią do sowieckiego domu dziecka.

„Anders zdradził. Gosudarstwa w gosudarstwie nie budiet” – mówili Polakom Rosjanie. Kto mógł, brał dzieci i było ich w sierocińcu coraz mniej, ale Boguś został.

- Z niepokojem podchodziłem do lustra i pytałem siebie, czy jestem taki brzydki, czy jestem taki niegrzeczny, że nikt mnie nie bierze – wspomina.

W końcu podeszła do niego pani z rodziny księdza kapelana. Powiedziała mu, że matka żyje, ale nie może mu pomóc, lecz żeby się nie bał, bo ona o nim pamięta i nie da go zrusyfikować. Wzięła go do siebie, a potem przekazała pani Stefanii w miejscowości Borowoje. Kobieta mieszkała w lepiance z małym okienkiem i piecem. Zadaniem Bogusia było zbieranie kiziaku (zeschniętych placków krowich), by było czym palić.

Gdy pociąg wjechał na tereny rosyjskie, Zofia uświadomiła sobie, że syn jest nieochrzczony. Pasażerowie zrobili mu chrzest „z wody”, dali mu do ręki zapaloną świeczkę. Ojcem chrzestnym został najstarszy chłopiec w transporcie, 12-letni Jurek Tomaszek, sąsiad z kamienicy w Stanisławowie.

Zimą z 1943 na 1944 r. pani Stefania zdecydowała, że wstąpi do Armii Kościuszkowskiej, a na jej miejsce do izdebki wprowadziła się Maria Trojan z matką. Starsza pani nie chodziła, więc zostawała w ciągu dnia w domu. Była Ukrainką, ale dobrze знаła polski. Pożyczyła od kogoś pierwszy tom *Ogniem i mieczem* i uczyła Bogusia czytać. Posłała go też do II klasy rosyjskiej szkoły.

Zimą odmroził nogi i ręce, bo buty i rękawiczki okazały się za małe. Latem chodził już boso. Na przednówku znów przyszedł głód, lizali tylko sól. Maria Trojan postanowiła, że musi oddać Bogusia do sowieckiego domu dziecka, bo tam chłopak nie umrze z wyczerpania. W tym czasie dostał kartkę ze szpitala, że jego matka pół roku wcześniej zmarła.

- Starałem się jeść jak najmniej, by mnie nie oddała. Bałem się, że zostanę w Kazachstanie na zawsze -

wspomina.

Ale gdy dostał czyraków, a na policzku pojawiła się narośl, sprawa była przesądzona.

Wiosną 1944 r. trafił do „Dietkomuny”, siedem kilometrów od Borowoje. Była to grupa baraków, wokół których zorganizowano kołchoz. Pracowały w nim starsze dzieci. Każdy z nowo przybyłych musiał przejść trzytygodniową kwarantannę. Choć pani Maria obiecała Bogusiowi, że go stąd zabierze, gdy będzie wracać do rodzinnego Złoczowa, czuł, że zostanie w ZSRS na zawsze. Z nerwów prawie nie jadł, a swoją porcję oddawał koledze. Gdy wychodził na zewnątrz, zbierał w lesie poziomki. Część przynosił starszemu chłopcu z „dietkomuny”, który akurat był w izolatce, bo złamał rękę.



Bogumił w Pieszczance. Fot. ze zbiorów rodzinnych

Było tam dużo dorosłych już młodzieńców, którzy nieformalnie rządili społecznością. Wychowawcy się ich bali, bo jako tzw. *dieti frantawikow* cieszyli się specjalnymi względami. Wprowadzili zwyczaj, że każde nowe dziecko będzie w nocy przez wszystkich bite. Na ofiarę rzucali się wszyscy, niektórzy z pałkami. Boguś szczęśliwie przeżył. Wiedział, że nie należy się skarżyć, bo mogą zabić. W starszych grupach Żydzi i Polacy dostawali szczególnie szczerze. Starali się nie wyróżniać. Boguś spotkał kolegę z polskiego domu dziecka.

- Rysiek, ty tutaj? - spytał po polsku. - *Nie gawari o mnie Rysiek, tolko Riszka. A to bit budut* - poprosił

Polak.

Diety frantawików kazały młodszym wyłudzać porcje chleba od wychowawców.

- Raz się nie wywiązałem i miałem być obity batem, ale wtedy stanął w mojej obronie chłopak z izolatki. Ostaw, on mnie jagody nosił - powiedział. Któregoś dnia pojawił się jednak i ten drugi, któremu oddawałem w izolatce część porcji. Żądał, abym robił tak dalej. Odmawiałem i swoją odważoną porcję natychmiast połykałem - wspomina Bogumił Hałaciński.

Któregoś dnia zaprowadzono dzieci do Borowoje na film *Wolszeбноje ziarno*. I choć to był pierwszy seans w jego życiu, uciekł przed końcem filmu, by zobaczyć się z Marią Trojan. Powiedziała mu, że sprawy mają się dobrze, bo mąż jej siostry, Michał Mudry, poszedł właśnie do Armii Kościuszkowskiej. Mają więc obietnicę repatriacji w pierwszej kolejności. Od tej pory chłopiec zaczął się modlić do Jezusa, by udało mu się wrócić. Przy każdej okazji biegał do Borowoje, żeby się przypomnieć.



Na zdjęciu zbiorowym w Pieszczance - Bogumił w pierwszym rzędzie w ciemnym płaszczku z dwoma rzędami guzików. Za nim w trzecim rzędzie (w jasnym kapturze) stoi Jerzy Tomaszek, obok jego matka.
Fot. ze zbiorów rodzinnych

Życie warte trzy jajka

Jesienią 1944 r. kobiety wzięły go do transportu. Pani Stefania Mudra miała trzy córki, wszystkie młodsze od niego. Jechali przez miesiąc. Boguś nie był na liście repatriantów, nie miał żadnych dokumentów i zawsze przy liczeniu przez żołdatów był ten *lisznij* (zbywający, nadmiarowy, zbędny). Ale patrzyli na chłopca i machali ręką. Niestety trafił się jeden uparty i głodny. Wysadził go z pociągu. - *Czetyre jajca* - rzucił do ludzi. Wygłodniały, wymęczony tłum milczał długo. W końcu Stefania Mudra wysupłała dwa jajka, ktoś litościwie dorzucił jeszcze jedno.

- Moje życie było warte trzy jajka - Boguś zapamiętał tę lekcję na całe życie.

Pociągi towarowe nie zatrzymywały się na stacji w Złoczowie, pociąg tylko tam zwalniał. Kobiety zrzuciły w polu tobołki, a on zeskoczył, żeby ich pilnować. W siąpiącym deszczu znalazł go polski dróżnik i zabrał do siebie. Gdy pociągi wracały z Tarnopola, dróżnik zatrzymywał je i wołał panie Mudrą i Trojan. W końcu się znalazły. Zapytał, gdzie mieszkają, a gdy się dowiedział, zmarł. Ostrzegł, że w Złoczowie są banderowcy. Wtedy odparły, że są Ukrainkami. Odradził im zabranie Bogusia, bo za jego uratowanie mogły zapłacić życiem. Nie posłuchały, ale widząc reakcję własnej rodziny, zrozumiały, że miał rację. Szybko odprowadziły chłopca na plebanię do polskich księży. W nocy po kryjomu przychodziły go jednak odwiedzać.

Gdy Bogumił Hałaciński zobaczył, że w tym kościele ludzie również biorą do ust po kawałku chleba, poprosił, że też chce to robić. Ksiądz Jan nie wiedząc, czy jego chrzest jest ważny, ochrzcił go na nowo i przygotował do Pierwszej Komunii.

W tej parafii wikarym był ks. Jan Cieński, arystokrata, syn właścicieli Pieniak. To on pogrzebał pomordowanych wcześniej Polaków w Hucie Pieniackiej. W piwnicach kościoła ukrywał Żydów, Polaków i tych Ukraińców, którzy nie chcieli mordować współbraci. Ludzie mówili, że słyszy umierających i trafia do nich nie wzywany z Komunią oraz że ma dar przewidywania przyszłości. Widząc obdartego chłopca, oddał mu własny płaszcz. Gdy Bogumił Hałaciński zobaczył, że w tym kościele ludzie również biorą do ust po kawałku chleba, poprosił, że też chce to robić. Ksiądz Jan nie wiedząc, czy jego chrzest jest ważny, ochrzcił go na nowo i przygotował do Pierwszej Komunii. Wystawił mu metrykę i oddał pod opiekę zaprzyjaźnionej rodzinie nauczycieli, państwa

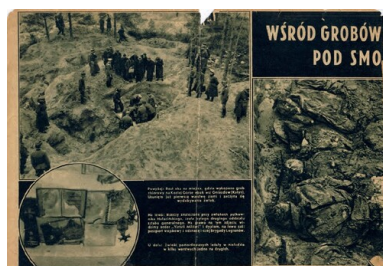
Skrzypków. Oni przywieźli go w listopadzie 1946 r. do Polski.



Tablica w kościele w Złoczowie, po 1989 r. ujawniono, że ks. Jan Cieński był tajnym biskupem na Ukrainie. Fot. z "Biuletynu IPN" nr 3/2017

Zamieszkał z nimi w Grodkowie na Dolnym Śląsku. Traktowali go jak syna. Pewnego dnia spotkał swoją nianię Pelagię. Była speszona, że jest taki duży. Powiedziała mu, że jego ojciec, ppłk Andrzej Hałaciński, był wielkim Polakiem. Bogumił ucieszył się, ale szukał przede wszystkim rodziny matki. Pamiętał, że ciotka mieszka w miejscowości kończącej się na „ice”. Rok po przyjeździe zobaczył w gazecie nazwę Skierniewice. Halinę Sikorską, siostrę Zofii, odnaleziono przez PCK, ona powiadomiła brata Przemysława, że Boguś żyje. Rodzicom Bogumiła Hałacińskiego wystawiono wkrótce akty zgonu. Z fałszywymi datami, bez podania miejsc. Brat oddał go do domu dziecka łódzkiego TPD. Tam nikt nie pytał o przeszłość. Prosił go tylko, by mało mówił i zdobył ścisłe wykształcenie, bo „nawet w socjalizmie dwa razy dwa równa się cztery”.

Gdy Bogumił miał osiemnaście lat, rodzina wręczyła mu „Ilustrowany Kurjer Polski”, gadzinówkę z 1943 r. Było w niej zdjęcie legitymacji Virtuti Militari jego ojca Andrzeja, wydobyte z katyńskiego grobu. Dowiedział się o walce rodziny o niepodległość Polski i że tata jest współautorem tekstu pieśni *My, Pierwsza Brygada*.



Ilustrowany Kurier Polski,
gadzinówka niemiecka
informująca o katyńskich
grobach. Zamieszczono w nim
zdjęcie legitymacji Virtuti Militari
Andrzeja Hałacińskiego. Fot. z
"Biuletynu IPN" nr 3/2017



Akt zejścia Andrzeja
Hałacińskiego. Wpisano datę
zgonu 21 grudnia 1943 r.; nie
wspomniano o Katyniu. Fot. z
"Biuletynu IPN" nr 3/2017



Akt zejścia Stefanii Zofii
Hałacińskiej. Podano fałszywe
dane, gdyż o Kazachstanie się nie
mówiło. Fot. z "Biuletynu IPN" nr

Bogumił Hałaciński obronił doktorat z fizyki, pracował przez lata na Politechnice Warszawskiej. O wojnie niewiele mówił, ale spisywał wielokrotnie swoje wspomnienia na kartkach i chował w różnych książkach. Swoją jedyną córkę uczył, co w lesie można jeść i co zabrać w podróż, żeby przeżyć. Kupował jedzenie, potem go nie jadł, ale wtedy mógł spać. Od lat osiemdziesiątych zbierał wszystko, co się ukazywało na temat Legionów. Pewnego razu podekscytowany wskazał na wojenną rycinę. Długo na nią patrzył.

- Chyba już wiem, co wisiąło nad biurkiem w gabinecie mojego ojca - powiedział wzruszony. - Widziałem ten obraz codziennie i już wiem, jak się nazywa. To *Cud nad Wisłą!*

Tekst pochodzi z nr 3/2017 "Biuletynu IPN"

COFNIJ SIĘ